

Wspomnienie profesor Krystyny Zwolińskiej

W latach 1949–1951 dzieliłam z Bronkiem Dembowskiem jeden etat asystencki w Zakładzie Historii Filozofii UW, którym kierował prof. Władysław Tatar-kiewicz. Zajęcia nasze odbywały się na pierwszym piętrze w starym gmachu „porektorskim”, po lewej stronie klatki schodowej, gdy prawą stronę zajmował zakład prof. Kotarbińskiego. Nie byłam już wówczas „dziewczyną po maturze”. Miałam za sobą egzamin magisterski z dziedziny estetyki oraz wcześniejsze studia w ASP. Interesowałam się zagadnieniami teorii wartości – co prawda głównie w odniesieniu do sztuki – i uczestnictwo w seminariach na ten temat bardzo mnie pobudzało. Miały one duże powodzenie, a ich uczestnicy tworzyli dość zróżnicowaną pod wieloma względami grupę. Lata, o których mowa, były nieodległe od końca wojny i niektórzy z nas nawet w ubiorze utrwalali jej pamięć – czy to z młodzieńczej ekstrawagancji, czy po prostu z ubóstwa. Wspominam Zbyszka Więckowskiego w długim szynelu wojskowym, podobnie Arnolda Śluckiego i Teresę Chabowską, ubraną i ostrzyżoną jak rekrut. Z innych powodów pokazywał się czasem w mundurze płk Bronisław Baczek, który, jak sądzę, był jeszcze wówczas w szeregach Ludowego Wojska. Mówię o tym, ponieważ powoli zaciera się świadomość jakie to były czasy i z jak różnych stron zdążaliśmy do Uniwersytetu: jedni z nas spędzili okres okupacji na Wschodzie, inni w krajowym podziemiu lub w niemieckich stalagach. Była to więc młodzież mająca za sobą różne doświadczenia i wybory światopoglądowe, choć, naturalnie, często jeszcze niezupełnie ugruntowane. Jeśli idzie o mnie – przeszedłam Powstanie Warszawskie w szeregach AK i moje przedwojenne lewicowe sympatie zostały mocno utemperowane faktem świeżej utraty niepodległości na rzecz mocarstwa, które, acz na zewnątrz okazywało zawsze dbałość o zhumanizowany obraz swego ideologicznego oblicza, w bezpośrednim zetknięciu okazało się z każdej strony trudne do zaakceptowania.

W gronie członków Seminarium zajmowałam miejsce w „centrum”, daleka od żarliwości niewielkiej garstki broniącej sprawy wartości z pozycji chrześcijańskich (stowarzyszenie „Odrodzenie”?) ale i nie identyfikująca się z występującą solidarnie czołówką „rewolucjonistów”. Nazwiska przedstawicieli poszczególnych „frakcji” trudno byłoby mi dziś wymienić – chyba nie pomyłę się jednak przypisując należenie do „prawicy” m.in. Kolegom: Czekaiewskiej, Dembowskiemu, Krasnowolskiemu czy Świejkowskiej, a do „lewicy” – Baczce, Hollandowi, Jaroszowi i innym, podpisanym później na sławnym protestacyjnym liście. Mniej skrystalizowany ideologicznie, bardziej – można powiedzieć – badawczy stosunek do zagadnienia wartości miała spora grupa centralna, chociaż i wewnątrz niej rysowały się różnice. Kilko z nas było zainteresowanych antropozofią i metafizyką Hoene-Wrońskiego, ale reszta stała raczej na stanowisku ontologicznego agnostycyzmu, a w dziedzinie metodologii skłaniała się do postawy charakterystycznej dla filozofii „Szkoły Warszawskiej”.

Seminaria odbywały się w salce o szkolnym wystroju, z katedrą i szeregiem ławek; w tej samej sali słuchaliśmy także wykładów. W roku akademickim 1949/50 dawało się od pewnego czasu zauważyć, że zarówno wykłady Tatar-kiewicza, Kotarbińskiego jak i Ossowskiego były z ogromną skrupulatnością notowane przez naszych kolegów z „lewicy”. Robiło to wrażenie, że każdy z nich wypełniał przydzielone mu przez jakąś „góre” zadanie, mające służyć do przygwożdżenia burżuazyjnego charakteru filozofii kwitnącej dotąd na U.W. Jak się zdaje, prof. Tatar-kiewicza miał „rozpracować” kolega Holland – choć może się mylę.

Seminarium z teorii wartości stanowiło znakomity teren igrzysk słownych, już choćby ze względu na możliwości bardzo różnorodnego przykładowania swych przekonań. Dwudziestego marca 1950 dyskusja na temat obiektywności bądź subiektywności dobra (tak to się wtedy mówiło) była dość burzliwa, a jej temperaturę podnosiło przekonanie „lewicy”, że jest pomawiana przez „prawicę” o stanowisko subiektywistyczne, a nawet relatywistyczne: widocznie sprawą pierwszorzędnej wagi było, aby marksizm-leninizm rysował się jasno jako rzecznik obiektywizmu etycznego. W trakcie wymiany poglądów, których emocjonalny ładunek przekraczał ramy przyjmowanej dotychczas płaszczyzny dialogu, okazało się nieoczekiwanie, że w tej kwestii mogłoby istnieć porozumienie między myślą marksistowską a katolicką, jednak nosiciele tej ostatniej nie chcieli się na to zgodzić. Wątpliwości, jakie wysuwali, były popierane cytataми z Lenina, który nieraz niedwuznacznie opowiadał się za instrumentalnym traktowaniem dobra. U kolegi Śluckiego, przywiązanego w tym czasie do materializmu dialektycznego w sposób wybitnie – jak na poetę przystało – uczuciowy, wywołało to rodzaj furii. „Centrum” seminaryjne, mniej zaangażowane, próbowało rozważyć racje obu stron, ale spotkała je obezwładniająca napaść.

Rozeszliśmy się zaperzeni i dalej szukający argumentów dla poparcia swoich tez w przyszłej dyskusji. Ale takiej już nie było. Na następnym seminarium pokazał się – co należało do rzadkości – kolega Leszek Kołakowski, któremu z Uniwersytetu Łódzkiego towarzyszyła fama wybitnej osobowości filozoficznej. To on odczytał surową enuncjację w imieniu grupy młodych marksistów – pamiętam go wyraźnie, stojącego w ostatniej ławce sali, dobrze oświetlonego dzięki sąsiedztwu okna, i skupiającego na sobie wszystkie spojrzenia. Sądzę, że nie było wśród nas nikogo, kto nie zdawałby sobie sprawy z wagi tego, co się właśnie działo: oto do nauki wprowadzono nowy język, narzędzie wyrażania nowych treści i wolne działania intelektu przegrywały wobec formuł z góry ustalonych przez zwycięską radziecką rewolucję.

Krystyna Zwolińska